

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starchewskiej.

TOM II.

36

— Nie mówię, żeby był złym w swoim rodzaju, lecz używając jego ślicznej łodzi mogę się zupełnie bez niego obejść — rzekła z uśmiechem. Kiedy i gdzie staniemy na noc?

— Jak się ściemni. Bers wie gdzie. Czy to nie wspaniale być zupełnie swobodnym i niezależnym? Możemy się zatrzymać gdzie się nam podoba, w samotnych miejscowościach, gdzie nie będzie turystów, którzyby się nam naprzykrzali.

— Dobrze — rzekła potakując jego zapalowi i patrząc na niego uśmiechniętymi oczami. — Unikajmy turystów i zatrzymujmy się w odludnych miejscowościach. A teraz idę na dół.

— Dlaczego, co tam będziesz robiła? Słońce wkrótce zajdzie, powinniśmy patrzeć na pierwszy zachód z Lonlii razem.

— Zawołasz mnie. Idę się uczyć przyrządzać kawę, jaką tutaj piją. Będzie mnie bawiło przyrządzać naszą kawę po lunch'u. A przytem będę miała jakieś zajęcie. Pragnę się interesować wszystkim w tem dziwnym, nowym naszym życiu.

Objął ją ramieniem.

— Wspaniale! — zawołał. — Ale musisz przyjść na zachód słońca.

— Zawołaj, a przyjdę.

Kiedy schodziła przechylił się przez poręcz schodów i zapytał:

— Kto będzie ci dawał lekcje przyrządzania kawy?

— Hanza — odpowiedziała.

I znikła.

IV.

— Przez całą drogę na Nilu będziemy słyszeli stare pieśni — powiedział Nigel, gdy Lonlia odbiła od Kenah.

Kiedy Mrs. Armine schodziła, żeby się spotkać z Hanzą, słyszała śpiewające głosy fellahów. Pochodziły z obu brzegów Nilu — połężniejsze ze wschodniej strony, słabsze z zachodniej, ażeby wkrótce umilknąć w złocie zachodzącego słońca. I pomyślała o śpiewie fellaha, który ją dochodził w pomarańczowym ogrodzie i jak zamyślała ratować się ucieczką, zanim się znalazła uwieczona modlitwą. Obecnie była w innym więzieniu. Lecz wtedy nieublagane ramiona zawarły się na niej i ostatni krzyk fellaha brzmiał dzikim tryumfem. Przypomniała sobie Aïdę owego dnia, przypomniała ją sobie i teraz. W młodości swej wierzyła, że namiętność, która ją zniszczyła, była namiętnością jej życia, szaleństwem zmysłów, delirium ciała, które już nigdy nie mogły się powtórzyć dla nikogo innego. Jak mało znała siebie, lub życie! Jak mało wiedziała o siłach dojrzałego wieku! Ta namiętność jej młodości wydawała się jak anemiczny cień w porównaniu z wilczym głodem, który teraz czuła. W owym czasie pozwoliła temu cieniowi zrujnować siebie; obecnie postanowiła zwyciężyć.

Kości były rzucone. Nie myślała już o ucieczce, ani o stawianiu oporu. Gdyby się jej nie udało otrzymać tego, czego pragnęła, teraz, kiedy kwitła drugą młodością, wiedziała, że już niczego nie może się spodziewać, że wszystko będzie dla niej skończone, że czarna otchłań przed nią się otworzy i że zniknie w niej na zawsze. Była desperatką pod maską uśmiechniętego spokoju, kiedy Lonlia płynęła w złocie wieczoru.

Jednakże, kiedy się znalazła w pięknej kajucie, która miała być jej buduaem, doznała ulgi, prawie radości. Komfort, wspaniałe urządzenie Lonlii dodały jej odwagi. Była już zdolną patrzeć w przyszłość. Przeszła do salonu z fontanną i złoconą kulką. Lecz dzisiaj fontanna była zatrzymana, a kulka unosiła się na wodzie, jak coś, co straciło życie. Przyszło jej na myśl, że fontanna prawdopodobnie bije wtedy, kiedy dahabijeh pozostaje w spokoju. Cudaczny powrót podobny do smoka z psią głową, którego widziała za swą pierwszą bytnością patrzył na nią i miała wrażenie, że ją wita. Rzeźbione

okiennice były zamknięte, lecz otwarte drzwi prowadzące na balkon wpuszczały światło wieczoru, szmer wody i głosy odzywające się wzdłuż Nilu. Usiadła na otomanie i prawie natychmiast wszedł Hanza.

— Pokażesz mi, jak się przyrządza turecką kawę, Hanza — rzekła obojętnie, trochę leniwym głosem.

— Yes — odrzekł.

— Gdzie będziemy ją przyrządzali?

Wskazał palcem na balkon.

— Na dworz — zawołała.

Wydawała się zawiedziona, lecz wstała i poszła za nim. Markiza była rozpięta, tak, że wierzchni pokład nie był widoczny. Kiedy to spostrzegła, chmura znikła z jej twarzy i siadła z wyrazem uwagi i twardej energii w oczach i na ustach.

Hanza już był przyniósł ruszt na żelaznych nóżkach z żarem, który zasłonił parawanikiem od wiatru. Przy nim stało naczynie z wodą, świeżo upalona i zmieciona kawa, dwa małe garnuszki i dwie filiżanki, cukierница z miłym cukrem i kilka papierków ze wschodnimi aromatami. Hanza gotował kawę ze zwykłym nie naruszonym spokojem, nie patrząc wcale na Mrs. Armine, która mu się uważnie przypatrywała. Dopiero jak skończył spojrzał na nią.

— Już gotowa? A więc — więc mogę wsypać cukier?

— Yes — odrzekł Hanza patrząc jej w oczy.

Wyciągnęła rękę, lecz nie po cukier. W tej samej chwili głos nad ich głowami zawołał:

— Ruby! Ruby!

— Chodź tutaj! — odpowiedziała.

— Ale chcę, żebyś przyszła zobaczyć zachód słońca.

— Przyjdź najprzód.

— Dobrze.

Przyrządzanie kawy było skończone. Hanza zabrał ruszt z węglem i wyszedł.

Po chwili Nigel wszedł do mrocznego pokoju z fontanną.

— Gdzie jesteś? Ah, tutaj! Nie możemy opuścić naszego pierwszego zachodu słońca.

— Kawa — rzekła z uśmiechem.

Wyszedł na balkon i podała mu jedną z filiżanek.

— Czy sama ją przyrządziłaś?

— Nie, ale jutro już potrafię. Hanza pokazał mi jak się to robi.

Wziął filiżankę.

— Pachnie cudnie. Tak mi się jednak zdaje że ty sama ją gotowałaś.

— Pij i myśl co chcesz, niedorzeczny człowieku — rzekła żartobliwie.

Napił się trochę, co też i ona uczyniła.

— Doskonała — po prostu doskonała. Lecz co zostało do niej dodane, że ma taki wyśmienity smak, Ruby?

— Ah, to mój sekret.

Piła dalej ze swej filiżanki.

— Nadzwyczaj dobrze! — rzekła.

Wskazała na papierki, które Hanza zostawił.

— Przyrządzanie jej to rodzaj świętego obrządku — rzekła. — Wrzucamy trochę z tej paczki trochę z tamtej. Następnie okadzamy filiżanki czymś z trzeciej. A wreszcie, kiedy kawa już gotowa, słodzimy ją cukrem. I oto wynik.

— Po prostu doskonała.

— Postawił swą pustą filiżankę.

— Patrz na to światło — rzekł wskazując na żółtą wodę. — Czy już skończyłaś?

— Skończyłam.

— A więc chodź na pokład.

Byli zupełnie sami. Ofoczył ją ramieniem.

— Wszystko, co mi dajesz, wydaje mi się odmienne od innych rzeczy — rzekł — odmienne i daleko lepsze.

— Twoja wyobraźnia jest dla mnie bardzo uprzejmą — i nadto uprzejmą. Jesteś zdolny dla mnie do szaleństwa.

— Czy jestem?

Patrzył na nią przenikliwie swymi dobrmi, pełnymi zapалу oczami.

— A ty, Ruby?

— Ja?

— Czy mogłabyś popełnić dla mnie szaleństwo?

Na chwilę radość jego zdawała się być przyćmioną powątpiewaniem, jak gdyby porównywał stan jej serca ze swoim sercem i to porównanie zaczynało — tylko zaczynało go niepokoić.

Wiedziała, co się w nim dzieje i miękko się na nim oparła.

— Nie chciałabym tego — rzekła.

— Dlaczego?

— Nie chciałabym cierpieć. Chciałabym być szczęśliwą przez ten krótki przeciąg czasu, który mi do szczęścia pozostaje.

— Dlaczego mówisz: — krótki przeciąg czasu?

— Już nie jestem młodą, a dość cierpiałam w życiu.

— Ale przezemniel jak mogłabyś cierpieć przezemnie? Czy nie ufasz mi zupełnie nawet teraz?

— To nie to. Lecz — to niebezpiecznie dla kobiety być zdolną do szaleństwa dla mężczyzny. To szaleństwo czuć za wiele.

Mówiła zupełnie szczerze, gdyż myślała o Barondim.

— Nie zawsze. Tylko wtedy, kiedy chodzi o kogoś słabego, nieszczerego. My — nie powinniśmy się liczyć ani wahać.

Pozwoliła mu zamknąć swe usta pocałunkiem i podczas, gdy ją całował słuchała głosów fellahów nad rzeką.

Kiedy się znaleźli na wierzchnim pokładzie, śpiewy wydały się głośniejsze. Tego wieczoru zachód słońca świecił szczerem złotem. Wś.ód złota rozlegały się głosy dochodzące z czarnych wybrzeży. Zawsze w Egipcie zachodzące słońce zabarwia czołna na Nilu, brzegi, drzewa palmowe, które na nich rosną, chaty wieśniacze, na czarno. Było tak i teraz, lecz Nigel widział tylko złoto.

— Nareszcie płyniemy w złocie — rzekł. — To mi przypomina ulubiony mój obraz.

— Jaki obraz?

— Obraz Watts'a „Postęp“. Jest w nim cudowna gloria. Pamiętam, że mówiłem o nim z Meyerem Isaacsonem tego wieczoru, w którym was zapoznałem.

Stała oparta o poręcz łodzi. W tej chwili wyprostowała się i siadła na stojącym obok krześle.

— Z Meyerem Isaacsonem! — rzekła. — Co mu o tym obrazie mówiłeś?

Odwrócił się opierając się plecami o poręcz i spojrzał na nią.

— Mówiliśmy o postępie. Obraz jest alegoryą oczywiście — duchowego postępu w świecie i w każdym z nas. Pamiętam, jak mówiłem Isaacsonowi, że wierzę mocno w zwycięstwo dobra na świecie i w człowieku.

— A on, co mówił?

— Isaacson? Nie wiem czy podzielał w zupełności moje zapatrywanie.

— Zdaje mi się, że jest dość podejrzliwym.

— Może żąda realniejszych dowodów, niż te, które mi wystarczają.

— On jest o wiele więcej *terre à terre* niż ty.

— Oh, Ruby, tego nie wiem.

— Owczem, tak jest. To bardzo rozumny i zajmujący człowiek, ale chociaż może tego nie przypuszcza, jest *terre d terre*. Widzi nadzwyczaj jasno, lecz tylko na małą przestrzeń i nic nie uwierzy, że może istnieć coś dalszego poza jego widnokreśliem. Ty nie jesteś takim.

— On jest tysiąc razy rozumniejszym ode mnie.

— Tak, ale jest tak rozumnym, że aż nieufnym. Nigdy naprzykład nie wierzyłby takiej jak ja kobiecie.

— Oh — zaczął tonem energicznego protestu.

— Nie, nie wierzyłby — przerwała spokojnie. — Do końca świata sądziłby mnie podług mojej przeszłości. Dałby mi etykietkę: „kobieta, której trzeba się strzedz“. I pomimo całego swego rozumnie zupełnie błędnie tłumaczyłby moje dobre chęci, moje najniewinniejsze uczynki. Wierz mi, Nigel, my kobiety dobrze wiemy.

— Ale w takim razie musisz Isaacsona bardzo nie lubić.

— Przeciwnie, lubię go.

— Nie mogę tego zrozumieć.

— Nie wymagam od niego wzniosłych uczuć — których wymagam od ciebie — gdyż mało mnie obchodzi. Gdyby źle względem mnie postąpił, gdyby mnie nienawidził sto razy więcej, niż nienawidzi, nie czułabym się tem dotkniętą, gdyż mi jest obojętny.

— Myślisz, że Isaacson ciebie nienawidzi! — zawołał.

Zapomniał o złocie zachodu, o płynnym złocie rzeki. Widział tylko Ruby, myślał tylko o tem, co mówiła, co myślała.

— Nigel, powiedz mi szczerze, czy myślisz, że on mnie lubi?

Patrzył w dół.

— Nie zna ciebie, gdyby znał...

(Ciąg dalszy nastąpi).